ROK 1. **Numer poświęcony sprawie Tygodnia Dziecka.** CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 15. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 19 maja 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Stanisław Wyspiański. Główka dziecka.

R. RUDZIŃSKA

O PRAWA DLA WSZYSTKICH DZIECI.

Wszystkie dzieci mają jednakowe prawa do opieki — do zdrowia — do radości — do rozwoju.

Każde z nich — to niewiadoma, nieznana przyszłość nasza. Czyż wiemy, jakie w nich tkwią możliwości? Czyż możemy orzec, jacy ludzie z nich wyrosną?

Dajmyż im takie warunki, żeby wszystko co w nich jest najlepsze, mogło się rozwinąć. Od tego zależy nasze i ich Jutro.

Tyle ich jest! Blisko jedna trzecia część naszego narodu — to oni, mali ludzie przyszłości. I taki będzie ten naród, taka będzie ludzkość — jakimi oni będą.

W naszych rękach, w rękach ludzi dojrzałych i silnych leży los tej 10 miljonowej armii malutkich. Dorośli decydują o życiu i rozwoju dzieci.

Od dorosłych zależy ich szczęście i zła dola. Od każdego zosobna i od wszystkich razem. Dorośli mogą walczyć o swoje szczęście, o swoje prawa. Dziecko walczyć z dorosłymi nie może. Szczęście, prawa dziecka zależą od dorosłych. *Starsi powinni te prawa dzieciom nadać*. I niech te prawa dziecka nie zależą od przypadku, od losu rodziców, u których się ono urodziło.

Każde dziecko, z chwilą gdy przyszło na świat, staje się pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. Wiadomo przecież zgóry, że jest ono do życia nieprzygotowane, że samo na siebie pracować nie może. Jeżeli więc niema dostatecznej opieki ze strony rodziców, musi obowiązek ten wziąć na siebie społeczeństwo. I niech to nie będzie aktem litości czy ofiary dla bliźniego. Niech to się stanie prawem napisanem na papierze, i w mózgach, i w duszach ludzkich. Niech każde dziecko wie, że ma *prawo* do normalnego rozwoju, prawo do tego, by nie było głodne, zziębnięte, opuszczone.

Każde dziecko to przyszły człowiek dorosły, zdany w walce o byt na własne siły. Lecz do tej walki powinien być każdy odpowiednio przygotowany. Szkoła powszechna tego przygotowania nie daje. Młodzieniec staje bezradny wobec życia. Rzadko się zdarza, by rodzice sami mogli dziecku przyszłą drogą wytyczyć i do drogi tej je przygotować. Społeczeństwo powinno wziąć na siebie tę troskę. Każdego trzeba nauczyć zarobkować na życie, każdemu trzeba dać jakiś zawód, zgodny z jego zdolnościami i zamiłowaniem. Każdy ma prawo do tego, by mieć swe miejsce w społeczeństwie i umieć obowiązki swe sprawować.

Dopóki społeczeństwo tych praw dziecka nie uchwali i w życie nie wprowadzi, dopóki będzie obojętnie patrzało na straszliwe tragedje dzieci, życie będzie pełne konfliktów i smutku.

A w domu? Rodzice muszą też nadać prawa swym dzieciom. Prawo do miłości i tkliwości rodziców, prawo do radości i pogody, prawo do zrozumienia potrzeb i upodobań dziecka...

Dajcie dzieciom jak najwięcej miłości, szczęścia, a nauczą się kochać życie, kochać ludzi, kochać świat cały!

I pamiętajcie, że wszystkie dzieci mają jednakowe prawa.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

O JASNY DOM...

Jedno przyszło od Boga uproszone
Przez serca kochające.
Czekały nań piersi spragnione
Śpiewały mu usta matczyne:
— Tyś moje jasne słońce!

Drugie przyszło nieczekane, niechciane,
Złe milczenie powitało maleństwo.
Zimne ręce je poniosły pod bramę,
I syknęły mu wargi skąsane:
— Tyś jest wstyd mój, tyś moje przekleństwo!

Jedno rośnie w Zaklętym Ogrodzie
Hodowane jak kwiecie,
A to drugie o chłodzie i głodzie
Brnie samotnie po obcym mu świecie.

Gdzie jest jeden jasny dom
Dla wszystkich dzieci pełen miłości?
Gdzie jest jedna kochająca rodzina
Dla małych Bożych gości?

L. BARAŃSKA

DZIECKO W RODZINIE.

Anielka jest prawie zawsze smutna. Czasami uśmiecha się dobrotliwie ale nigdy nie wybucha kaskadami niepohamowanego śmiechu ot tak... z niczego, a raczej z tego, że ma dopiero lat dwanaście, że koleżanka zrobiła śmieszną minę lub „komicznym“ grymasem wykrzywiła twarz, albo też, że „Pani“ w klasie tak „dziwnie“ jakoś opowiada, albo też dlatego, że wszystko naokoło jest tak śmieszne, że choć się nie chce, to trzeba „pękać ze śmiechu“.

Anielka nie posiada tej radości życia. Nie czuje jej w sobie. Ma swoje zmartwienia, ciężkie przeżycia, które gaszą wesołe „djabliki“ w jej ciemnobłękitnych oczach i mrożą beztroski uśmiech na dziecięcej twarzyczce.

A już zdecydowany lęk maluje się na buzi, gdy dzwonek szkolny oznajmia koniec lekcyj i zbliża się czas powrotu do domu.

Anielka nie lubi „tego“ domu. Ona pieści w swej wyobraźni dom inny cichy, pogodny i radosny.

Trwoga, przerażenie i bezsilna wprost rozpacz ogarnia małą na myśl, że znów będzie świadkiem awantury między rodzicami, że znów posłyszy wyzwiska, ordynarne wymysły i ubliżenia, a może nawet bić się zaczną, jak to nieraz bywa; ona nic zaradzić wtedy złemu nie może, tylko ze strachu i wstydu wciska się w kąt pokoju, a zasłoniwszy uszy rękami zanosi się serdecznym, żałosnym płaczem.

Na samą myśl dygoce całem ciałem i otrząsa się ze zgrozą. Raz po raz wzdycha ciężko, a na czoło jej występuje głęboka brózda nadająca Anielce wyraz surowy i ponury.

— Boże, mój Boże! — szepce mała, idąc ulicą, na której nie widzi ruchu, przechodniów, życia radości, nic...

Pogrążona w myślach, zgaduje czy będzie dziś awantura w domu, czy nie?.. O co pokłócić się dziś mogą?... A może nic nie będzie.

Jak miło byłoby przysłuchiwać się łagodnej, przyjacielskiej rozmowie tych dwojga bliskich...

Niestety! Anielka wie, że tak nie będzie...

Już, wchodząc na schody, słyszy donośny głos matki, jak kłócąc się wymyśla i klnie na „czem świat stoi“, i wyraźnie słyszy gruby głos ojca, jak jej wtóruje.

Anielce „dech“ zamiera w piersi.

Koleżanki w szkole nieraz pytały ją o powód smutku, ale dziewczynka, spuszczając oczy w dół, uparcie milczy i tylko widać, jak łzy kręcą się pod powieką.

O, przecież ona także chciałaby „pękać ze śmiechu“, ale cóż, kiedy nie może. Ona też chciałaby razem z niemi biegać, cieszyć się i radować ze wszystkiego, ale nie może, bo w sercu czuje ból, bo przygniata ją lęk przed wszystkiem znanem i nieznanem.

Anielka ciągle drży, ciągle się czegoś obawia.

Takich Anielek jest daleko więcej, a każda inne ma powody do niezadowolenia z domu. Jedna, bo ojciec „klnie i mamie pieniędzy na obiad nie daje“ inna, bo ojciec „przychodzi pijany“, a ona tak się tego boi. Jeszcze inna, bo w domu mówią „brzydko“, a ona tak tego nie lubi, tak nie lubi... Znam chłopca, który wychodzi z domu, gdy ojciec zjawia się po pracy. Czyni tak dlatego, bo nigdy nie wie czego ojciec od niego chce. Gdy mały czyta, — ojciec wymyśla mu, że ciągle nad książką „ślęczy“.

Gdy bawi się z młodszem rodzeństwem — krzyczy i wymyśla, że „bąki zbija“ i darmo chleb zjada“. Często też w twarz uderzy i „sponiewiera“, więc woli zejść mu z oczu. „Wiadomo, nie kocha go przecież“!

Te zwymyślane i skatowane Antki i zlekceważone Marysie, to ofiary niekulturalnych, nieopanowanych „dorosłych“, którzy przekonani są nawet, że dziecko to „głuptas“, mało jeszcze czujący, nie rozumiejący wcale, no i nie krytykujący ich, rodziców, karmicieli i „chlebodawców“, których kochać przecież należy.

Nie wiedzą tylko ci „starsi“, że myśli i uczucia, które są włsnością dorosłych, tkwią w umyśle dziecka już we wczesnem dzieciństwie. Że nienawiść i miłość, złość, gniew, zazdrość, a nawet rozpacz, wyrzuty sumienia, niechęć do osób i rzeczy, odczuwanie piękna—rysują się u kilkuletniego dziecka tak samo mocno, jak i u człowieka dorosłego, z tą tylko różnicą, że dziecko nie zdaje sobie sprawy z uczuć niem wstrząsających. Ono czuje i milczy, milczy i cierpi. A wszystko co podłe i niskie, co złe i powszednie, pada nań niby ciężka mgła. Ono dławi się i dusi tym ciężarem, ale bezsilnie samo obronić się przeciwko temu nie może, nie potrafi, więc cierpi...

Dlatego obserwujmy dziecko!

Starajmy się współczuć mu i zrozumieć je!

Chciejmy przeniknąć jego postępki i czyny!

A wtedy?...

Wtedy zobaczymy, że między światem dziecka i światem dorosłego, niema żadnego pomostu, żadnej drogi, łączącej te dwie tak odrębne, tak różne osobowości.

Starajmy się więc zbudować ten pomost!

JANINA STRZELECKA

DZIECKO W SZKOLE.

W amerykańskich szkołach, widnieją na ścianach napisy: „Czyń to z uśmiechem" —

Mądra, śliczna, kochana rada!

Wszystko, co czynisz, czyń z uśmiechem, zwłaszcza Ty, dorosły człowieku, gdy patrzy na Ciebie dziecko, gdy prosi Cię o coś dziecko, nawet—gdy Cię drażni czy nudzi dziecko... Przemawiaj doń z uśmiechem, bo wtedy stokroć prędzej i lepiej zrozumie wszystko, bo wtedy zaufa Ci o wiele Łatwiej, bo-uśmiechem swoim rozweselasz jego życie, które często jest ciężkie i smutne od samego początku...

I do kogoż to uśmiechać się, jeżeli nie do dziecka? Tego szczególnie, co od zarania dni swoich poznaje wszystkie udręki życia. — Pracę nad siły, niedostatek, często i nędzę i to wszystko, co z nią związane — głód, zimno, grzech, złość i poniewierkę...

Takie czasem słabe, bezradne, a już o sobie pamiętać musi... Ktokolwiekbądź jesteś podaj mu rękę, uśmiechnij się do niego, uznaj — że to jego święte prawo do wieku dziecięcego, którego to prawa dziesiątki tysięcy dzieci są pozbawione — Dziesiątki tysięcy dzieci...

Jedne pomagają w domu, czasem skrzaty co od ziemi ledwo odrosły, izbę ci zamiotą, dzieciaka niańczą, lub kołyszą, ziemniaki skrobią, ach i wodę noszą, po wsiach od szaregu świtu bydło, czy gęsi pasają. Nie mają czasu na zabawę i nie mają czasu na naukę.

Dziesiątki tysięcy dzieci...

Tych sierot, podrzutków porzuconych w obawie przed wstydem, hańbą ze strony złych i małych ludzi, w obawie przed troską, czy się wyżywi, lub pracę z „małem" znajdzie.

Tyle ich w owych wszystkich żłobkach, ochronach, przytuliskach, sierocińcach. — Nic nie wiedzą o pieszczocie matczynej, one, te niczyje, nikomu niepotrzebne dzieci, znajdy bezimienne — uśmiechaj że się do nich, nie szczędź dobrego słowa i położenia ręki na takiej głowinie sierocej. Ty pani ochroniarko, pielęgniarko, czy nauczycielko, kierowniczko! Nie szczędź uśmiechu, szafuj nim hojnie, rozpromieniaj nim tę najszarszą dolę takich dzieci, co to stały się tem... złem koniecznem. Może Twój uśmiech i wspomnienie o nim będzie dla wielu z nich punktem oparcia w życiu, nawet gdy z pod Twej opieki wyjdą?

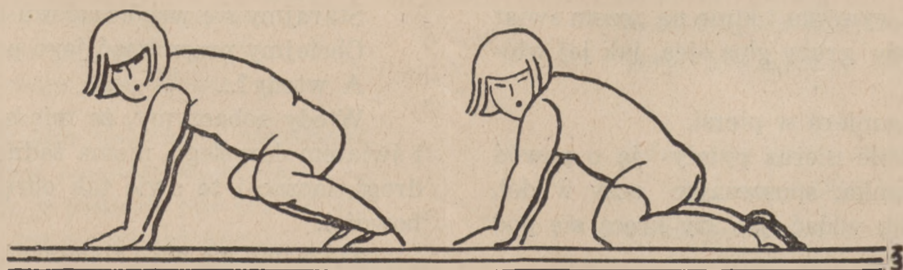
Dziesiątki tysięcy dzieci, ach nie, to już setki tysięcy tych, co są w szkołach. Tak czasem do tej szkoły daleko, i trudno nauka przychodzi, i wiele to razy niema gdzie i na czem lekcji odrobić, niema za co książek ani zeszytów kupić i jakże często rodzice wcale zrozumienia dla tej nauki swego dziecka nie mają... Jak bardzo boją się te dzieci surowej, albo obojętnej twarzy pana Nauczyciela, lub Nauczycielki.

I jak żywo biją małe ich serca, kiedy widzą uśmiech, mądry, łagodny, wyrozumiały uśmiech na waszych twarzach, wy, co je uczycie... Są wtedy spokojniejsze, mniej nerwowe, o niebo całe lepiej rozumieją i lepiej odpowiadają, kiedy widzą ten zachęcający uśmiech. — Broń Boże, nie lekceważą was, tylko lubią, i nie boją się i cieszą, kiedy nadchodzi wasza lekcja.

Toć przychodzą niektóre z nich (ach zbyt wiele) do tej szkoły już takie zmęczone, te zwłaszcza co na drugą zmianę do tej klasy chodzą, na godzinę pierwszą popołudniu. Tylu z nich ma wtedy poza sobą kilka godzin pracy domowej, gdy matka od rana idzie do zajęcia, a taki pędrak siedmioletni nawet tyle za nią zrobić musi. — A inne znowu poza domem, zarobkowo pracują, czy gazety sprzedają, chrypnąc z krzyku.

Uśmiechem swoim pozwalacie im przez te kilka godzin szkolnych odetchnąć swobodnie, uśmiechem swoim pozwalacie im wierzyć, że dadzą sobie radę, uśmiechem swoim ułatwiacie im uwagę podczas lekcji i sprawiacie to, że i one z uśmiechem myślą o was i o szkole i śpieszą do tego jednego miejsca, w którem odnoszą się do nich tak jak do dzieci i w którem czują się dziećmi...

Uśmiechem waszym sprawiacie, że stają się lepsze, że ładnieją ich twarzyczki i dusze, co może właśnie kształtują się i rozwijają, jak kwiaty w słońcu, w promieniu waszej dobroci, której wysłańcem jest uśmiech.



WANDA GRABIŃSKA

O DZIECIACH UBRANYCH I SYTYCH.

Pocóż o nich pisać — zapytacie? Czyż nie mają wszystkiego, co im potrzeba? Czyż nie są uprzywilejowane? — Napozór tak, — jest jednak coś, co chcę o nich powiedzieć.

Jeżeli ktoś mówi o dziecku zaniedbanem i opuszczonem, to określenia te kojarzą w umysłach słuchaczy z pojęciem *sieroty, dziecka nędzy*, lub *porzuconego*. Skojarzenie to jest słuszne, ale nieścisłe — i chcę je dziś uzupełnić.

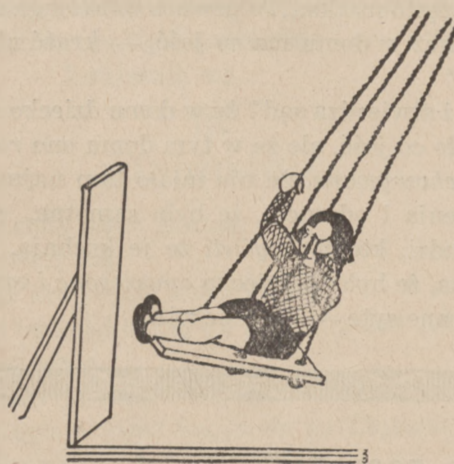
Na podstawie doświadczenia w sądzie dla nieletnich i pracy społecznej stwierdzić mogę, że do tej kategorji możnaby wliczyć wiele dzieci, *wyrastających* pod bokiem rodziców i przy stole na którym nietylko. że nie brakuje chleba, ale są i ciastka. Zwracam uwagę czytelników na słowo *wyrastających* — tak, bo dzieci w takich rodzinach *wyrastają*, a nie są wychowywane.

Wielu rodziców myśli, że o ile się dziecko nakarmi, ubierze i pośle do szkoły, to zadania opieki nad dzieckiem jest skończone. — Można już wtedy zająć się innemi sprawami. Od dziecka zaś wymaga się za to, co mu się dało, żeby było posłuszne, grzeczne, dobrze się uczyło, żeby było dobre. — I o ile dziecko nie spełni którego z tych warunków, mówi się, że jest niewdzięczne, że ma zły charakter, a nawet, że jest wyrodkiem.

Tymczasem dziecku, oprócz ubrania, jedzenia i szkoły potrzeba jeszcze czegoś, co trudno określić, łatwiej odczuć. Potrzeba mu *zrozumienia* w świecie dorosłych ludzi i *współżycia* z jego własnym dziecięcym światem.

Kiedy dziecko wróci ze szkoły, chce opowiedzieć, co tam w szkole było, i zaczyna o tem mówić przy obiedzie, ale rodzice przerywają mu wtedy, każą „cicho siedzieć", bo właśnie oni chcą między sobą porozmawiać o *swoich interesach*, a dziecko przeszkadza.

— Kiedy ojciec, czy matka idzie z dzieckiem na spacer dziecko zarzuca ich pytaniami. „Poco?" „Dlaczego?" „Jak się to nazywa?" „Poco to jest?" — I znowu słyszy odpowiedź: „ach, nie zamęczaj mnie, jesteś nieznośny"! — Dziecko ubrane i syte milknie, ale ręka matczyna którą trzyma w swej dłoni, wydaje mu się dziwnie obca i daleka.





— Do dziecka przychodzi kolega. Bawią się w pokoju w wojsko, w fortecę. — Fortecę ustawili z klocków — jest wspaniała, — dzieci pragną się pochwalić. „Mamo" mówi chłopczyk — chodź zobacz, jaką postawiliśmy fortecę" — „nie zawracaj mi głowy — nie mam czasu"! odpowiada matka — „czy nie widzisz, że jestem zajęta"?

Ależ tak! — Dziecko ubrane i syte w końcu spostrzega, że matka i ojciec są wiecznie *zajęci* swemi własnemi sprawami. że nie mają czasu. — że nie można im przeszkadzać. że trzeba im się usuwać z drogi.

Ale uczucia dziecka w dalszym ciągu domagają się podziału, myśli — wypowiedzenia, wrażenia — oddania ich komuś, kto je odczuje... I nie mogąc tych potrzeb serca i duszy zaspokoić w domu, dziecko szuka współżycia poza domem, albo zamyka się w sobie, staje się ponure i nieufne. I w jednym i w drugim wypadku paczy się natura dziecka, któż bowiem staje się jego myślowym towarzyszem, gdy nie chce nim być ojciec, ani matka? Wiemy dobrze — *koledzy!* Ci ze szkoły w najlepszym wypadku, — często zaś tylko z podwórka, lub nawet z ulicy... koledzy dobrzy lub źli, moralni lub zepsuci, zależnie od szali przypadku. — Raz zerwawszy psychiczny węzeł kontaktu z rodzicami, dziecko prędko tworzy sobie swój własny, odrębny świat współżycia z *ludźmi z poza domu*, i świat do którego rodzice już nie będą mogli dotrzeć bo nie odnajdą odpowiednich dróg.

I dopiero najczęściej kiedy *coś się z dzieckiem*

staje, rodzicom otwierają się oczy i otwierają się zapóźno!

Sąd dla nieletnich bywa często środkiem takich tragedji.

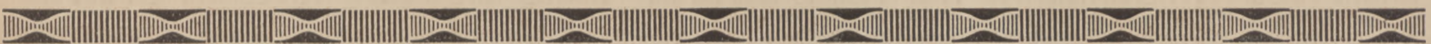
„Ja nie wiem, jak on mógł to zrobić" — tłomaczy się często matka „To pewnie *koledzy* go namówili. Bo przecież w domu ma co jeść, — kraść nie potrzebował..."

A cóż stwierdza sąd? że w domu dziecko rzeczywiście miało co jeść, ale że w tym domu ono *rosło, a nie było wychowywane.* że nie miało tam najmniejszego zrozumienia i odczucia, że było samotne, choć żyło wśród ludzi, którzy *myśleli* że je kochają. Tak, sąd stwierdza, że było to dziecko *opuszczone i zaniedbane,* choć ubrane syte — i nie sierota.

To też w tym tygodniu dziecka, który jest poświęcony na zastanowienie się nad potrzebami wszystkich dzieci, rodzice dzieci ubranych i sytych powinni spojrzeć na nie *nowemi oczami.*

Dojrzeć w tych dzieciach, to czego dawniej nie spostrzegli, starać się zrozumieć i pokochać ten odrębny świat myśli i uczuć dziecka, starać się z dzieckiem współżyć.

Lepiej bowiem zacząć od dziś spoglądać na dziecko nowemi oczami, niż czekać, aż — brutalna ręka jakiegoś wypadku życiowego zerwie nam z przed oczu zasłonę obojętności, która kryje przed rodzicami duszę własnego dziecka.



HELENA BOGUSZEWSKA

D Z I E C I.

I.

ZBYSZEK

Zbyszek jest gruby, jasnowłosy, poważny. Ma okrągłe, ufne, niebieskie oczy, ma potężny, gruby głos, którego jednak zażywa z umiarkowaniem: nie paple, nie gada dużo, nie powiada byle czego, tylko zadaje solidne pytania, zazwyczaj natury technicznej, i uważnie wysłuchuje odpowiedzi do końca.



Nie maże się, nie piszczy, nie grymasi, a krzyczy i wrzeszczy tylko wtedy, kiedy trzeba, i tylko tak długo, jak trzeba, żeby osiągnąć swój cel.

Osiąga go prawie zawsze. Bo Zbyszek jest jedynakiem, bo Zbyszek umie wrzeszczeć tak, że dom się trzęsie, bo wrzaskom Zbyszka nie oprze się ani babcia, pełna systemów pedagogicznych, ani mama, pełna nieokreślonych bliżej obaw, że Zbyszkowi „coś się od tego krzyku stanie", ani tatuś, który, poprostu, zupełnie nie może tego słuchać:

— A dajcież mu tam, czego chce, żeby tylko nie wrzeszczał!

Ale Zbyszek nie nadużywa swej władzy: jak tylko dostanie, co chce, zaraz przestaje krzyczeć i znowu się bawi, spokojny, solidny, dobroduszny.

Bawi się ciągle, zawsze, całemi godzinami, całemi dniami jednem i tem samem. Tygodniami jest koniem, tygodniami furmanem, tygodniami konduktorem.

Aż teraz przyszły takie miesiące — że jest szoferem, i tylko szoferem, i nikim innym — tylko szoferem.

Przyszedł gość — i patrzył, jak Zbyszek siedzi na swojej małej ławeczce, do pulpitu przymocował kółko od wózka, jako kierownicę, na oczy włożył dwa dziurkowane denka od pudru dla dzieci — jako okulary — i jedzie.

Zachwycony gość mówi:

— Ależ Zbyszku! To z ciebie jest prawdziwy szofer? No, no!

Zbyszka aż rozsadza duma. Poprostu pęcznieje z tej szoferskiej pychy. Ale Zbyszek jest uczciwy i rzetelny. Nie będzie korzystał z tego, że gość jest trochę naiwny i nie bardzo się zna na rzeczy. Zwraca na niego ufne, okrągłe oczy, przeświecające z za podziurkowanych krążków tektury barwą kwitnącego łubinu. Mówi głosem grubym, radosnym i trochę zawstydzonym:

— Eee... nie, proszę pana. Ja jeszcze nie jestem szoferem... ja tylko tak wyglądam!

II.

KRYSIA.

Ale skądże się wzięły dziurkowane denka od pudełek z pudru do przesypywania niemowląt? Zbyszek jest jedynakiem, Zbyszek jest duży...

Ach, to Krysia, to Krysia...

Zjawiła się mała, czarna, ruchliwa, wiecznie piszcząca, kapryśna Krysia...

Krzyczy cienkim głosem, wypręża się, kręci, niewiadomo, co ją cieszy, niewiadomo, co ją martwi...

Nietylko tatuś, ale już i mama, pełna strachu, że Krysia pęknie z wrzasku, już i babcia, pełna zasad, rezygnują, rezygnują...

— Dajcie jej, czego chce, niech tylko przestanie wrzeszczeć!

Dajcie jej, czego chce! Łatwo powiedzieć! Któż to wie, czego chce Krysia? Krysia sama nie wie...

Krysia zaczyna chodzić. Wcześnie, bo wcześnie. U tej Krysi wszystko się robi dziwnie i wcześnie. Zbyszek miał półtora roku i ledwie się toczył, jak kula, gruby i ciężki. Krysia ma jedenaście miesięcy i lata jak fryga, leciutka, drobniutka, pełna niespodziewanych pomysłów...

Krysia zaczęła chodzić — minęły długie, szczęśliwe godziny Zbyszkowej statecznej zabawy. Rozwalony zamek i wieża z klocków. Potargane, porozrzucane całe oddziały papierowych żołnierzy. Pogięta blaszana miseczka, z której codziennie jadały wyszczerbione, terrakotowe lwy w menażerji. Zniszczony domek dla słonia. Nie oszczędzi nawet szoferskiego ekwipunku, którego dotąd nawet niani nie wolno było tknąć... Dzieją się rzeczy straszne

Zbyszek ma za sobą poczucie sprawiedliwości, solidny sposób myślenia, gruby głos, ciężką, karzącą rękę — no i to, że jest starszy.

Krysia ma za sobą kapryśną zmienność pomysłów, fantazję, którą umie grubego, rozsądnego Zbyszka omotać, swoje figle, swój pisk — no i to, że jest młodsza. Zwalczają się.

III.

BANDZINDZIA

— Bawmy się w pociąg.

— Bawmy się.

— Ale kto będzie lokomytywą?

— Ja będę lokomotywą — i Zbyszek już się nadyma do sapania.

— Kiedy ja chcę, kiedy ja... — zaczyna piszczeć Krysia i nagle urywa: Spojrzała na Zbyszka i widzi, że wszystko na nic, że on nie ustąpi.

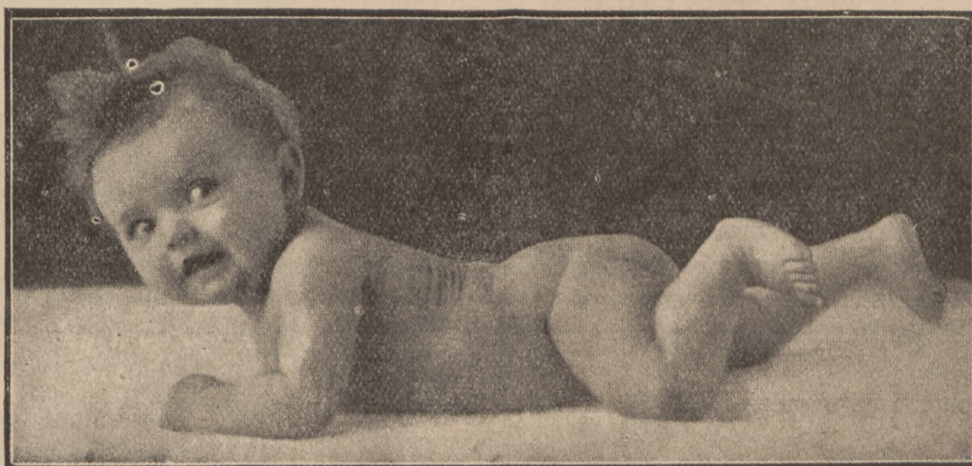
Chwila ciszy. I nagle głos Krysi, nie piszczący, tylko zwycięski i radosny.

— Wiesz co? Ani ja nie będę lokomotywą, ani ty, tylko Bandzindzia!

W Zbyszka jakby piorun trzasł. Bandzindzia? Bandzindzię wymyśliła sobie Krysia już dawno i w najbardziej nieoczekiwanych chwilach tak oto umiała nią człowieka zaskoczyć!

Zastanowił się Zbyszek, Bandzindzia! A Krysia już się uwija, krząta około tej zabawy, szuka dzwonka, trąbki, kraje bilety z papieru, rozstawia krzesła, kładzie sobie na ramionach ręce niezdecydowanego Zbyszka, a ręce swoje na ramionach niewidzialnej Bandzindzi, a wyręczając ją, sapie, syczy, gwiżdże— już suną przez wszystkie trzy pokoje w amfiladzie, z początku powoli, potem coraz prędzej, coraz prędzej, biegną, pędzą...

Babcia zadowolona, że się bawią zgodnie; babcia sądzi, że uniknęło się kłótni, bo Zbyszek ustąpił, poczciwy Zbyszek... Babcia nie wie, że nie ustąpił nikt, bo lokomotywą jest Bandzindzia!



WANDA WRÓBLEWSKA

GDZIE KSZTAŁCIĆ MŁODZIEŻ PO SZKOLE POWSZ.?

Największą troską rodziców jest, co zrobić z dzieckiem, gdy ukończy szkołę powszechną. Zwykle uczeń(nica) mając lat 14—15, otrzymuje świadectwo z 7-ej klasy. W tym wieku jeszcze młodzież nie ma skrystalizowanych myśli i pojęć, czem zostać w przyszłości; wyjątkowo tylko spotykają się indywidualne jednostki, mające określony cel w życiu i chęć dążenia do zrealizowania swoich zamiarów.

W większości wypadków dzieci czekają na decyzję rodziców, lecz i tu napotykają na wielkie trudności, gdyż rodzice nie wiedzą, gdzie i jakie są szkoły. Rodzice, pragnący wyżej kształcić dzieci, posyłają je do gimnazjum, omijając, często świadomie, czasem bezwiednie, szkoły zawodowe, w których jest wiele w Warszawie i w każdem większem mieście; niektórzy z rodziców mają niczem niezrozumiałą obawę i jakby dyskretny wstyd, żeby dziecko jego nie zostało fachowym robotnikiem, rzemieślnikiem, ba, nawet handlowcem albo technikiem. Zapanowała moda na gimnazjum, jakby to tylko ono kształciło i „urabiało" człowieka, inne szkoły — znajdują się w pogardzie.

Mylne to zrozumienie nie przynoszące korzyści ani dobra młodzieży, a jakie często nawet krzywdzące ją!

Cóż się bowiem okazuje? Uczeń(nica) wstępuje do gimnazjum po skończeniu szkoły powszechnej do klasy IV-ej, pochodzi 2 lata, przejdzie do 6 a nawet 7 klasy i najczęściej wychodzi z gimnazjum, jako dorastający młodzieniec, zupełnie wykolejony w życiu. Cóż ma robić ów „gimnazjasta"? Do fachu, pracy ręcznej, na rzemieślnika czy robotnika nie pójdzie, bo się wstydzi podobnej pracy. Na gwałt uczy się pisania na maszynie, wstępuje dorywczo na jakieś kilkutygodniowe, buchalteryjne czy inne kursy i zostaje urzędniczkiem, który bez dokończonego wykształcenia, bez należytego fachowego przygotowania całe życie ma posadę nędznego „gryzipiórka". Dzieje się temu dziecku wielka krzywda, niedostatek smaga bezlitośnie młody organizm, szybko poddający się chorobom, które czynią osobnika niezdatnym do żadnej twórczej pracy, staje się niedołęgą życiowym, a nieraz i ciężarem rodziców i społeczeństwa.

Pisząc te słowa, nie chcę, bynajmniej, rodziców zniechęcać do szkół średnich czy gimnazjum, lecz możliwie dać im najserdeczniejsze, najszczersze wskazania, by zapewnili swym dzieciom maximum dobra na przyszłość.

A więc zrozumcie mnie rodzice!

Do gimnazjum należy posłać dziecko: a) wybitnie zdolne w nauce, b) mające chęć i wytrwałość po skończeniu gimnazjum do dalszego kształcenia, c) zdrowe fizycznie i d) i mające w domu zapewnione warunki materjalne u rodziców. Zasoby finansowe stanowią poważny czynnik w dalszem kształceniu dziecka. W gimnazjum książki, laboratorja, różne pomoce naukowe drożej kosztują, aniżeli w szkołach zawodowych, zważywszy, że szkoła zawodowa zajmuje uczniowi 3 — 4 lata, a w samem gimnazjum trzeba przebywać 5 lat, w uniwersytecie najmniej 5 lat— czyli pomagać dziecku trzeba, wspierać pieniężnie najmniej 10 lat od wyjścia ze szkoły powszechnej. Z tem muszą i powinni się rodzice liczyć, jeżeli powyższym warunkom sprostają, niechże oddają dzieci do gimnazjum, lecz z tą myślą, że nie wolno nauki przerwać na gimnazjalnej maturze, lecz kończyć wyższe studja, by nie wykolejać młodzieży.

Jeżeli jednak dziecko w szkole powszechnej uczyło się miernie, nie okazywało nigdy wielkiego zapału do nauki teoretycznej, oderwanej, lecz bardziej interesowało się zajęciami praktycznemi np. robotami ręcznemi, stolarstwem, kilimkarstwem, zabawkarstwem i t. p. a rodzice ciężko pracują na kawałek chleba — niech ci prześlą swą dziatwę do szkół zawodowych, które po 3-ch, najwyżej 4-ch latach nauki dają znajomość wybranego fachu, kierują na właściwą drogę pracy. Po skończeniu szkoły zawodowej zawsze i szybko znajdą właściwą pracę, bo fachowców w Polsce brak i potrzeba ich jak najwięcej. A więc do szkół zawodowych odsyłać młodzież, a wyjdą szeregi pożytecznych biuralistów, handlowców, techników, różnych majstrów, rzemieślników.

W obecnych demokratycznych czasach daleko lepiej zarabia przygotowany, wyszkolony fachowiec, niż „od przypadku" mizerny urzędniczyna.

Oczywiście w wyborze szkół zawodowych trzeba porozumieć się z kierownikiem szkoły, wychowawcą klasy, omówić z dzieckiem, czem chciałoby zostać, szczerze, serdecznie popytać, przeniknąć do duszy, aby uchwycić właściwy ton jego zamierzeń.

W każdej szkole powinny się odbyć zebrania uczniów, kończących szkołę razem z rodzicami z Radą pedagogiczną, aby wzajemnie pomówić o dalszej pracy młodzieży; na zebraniach tych winno zapoznać się rodziców i młodzież z wykazem szkół zawodowych, pokierować uczniami, możliwie w myśl ich życzeń (jeśli je mają) czy też rodziców.

Szkoły zawodowe męskie w Warszawie.

I. Handlowe.

Nazwa szkoły	Adres	Warunki przyjęcia	Opłaty roczne	Czas nauki	Zawód i uprawnienia
a) Państwowe 1) Państwowa szkoła handlowa im. Roeslerów	Chłodna 33 Tel. 40-35	7 klas szkoły powszechnej, wiek 14—15 l., egzamin wstępny z języka polskiego i arytmetyki taksa egz. 5 zł. (świadectwo szkolne, metryka, świadectwo szczepienia ospy fotografja)	Półrocznie około 60 zł. płatne zgóry Synowie funkcjon. państwowych zwalniani przy dobrych postęp.	3 lata	absolwenci szkoły korzystają w służbie państwowej cywilnej z uprawnień narówni z kończącymi gimnazjum państwowe (Dz. Ust. Nr. 64/1924 poz. 629) Przedsiębiorstwa handlowe banki, biura fabryczne. instytucje i urzędy państwowe i komunalne
2) Państwowa Szkoła Handl. na Powiślu	Al. 3 Maja 8 Tel. 29-25	— dtto —	— dtto —	3 lata	— dtto —
b) Prywatne 3) Szkoła Handlow. Zgrom. Kupców m. st. Warszawy trzyklasowa specjalna	Waliców 2/4 Tel. 12-92 i 79-03	7 klas szkoły powszechnej i egzamin sprawdzający z języka obcego	Wpisowe w 4 ratach kwartalnych po 100-130zł.	3 lata	— dtto —
4) Szkoła Handlow. koła Prażan	Jagiellońska 38 Tel. 309-86	7 klas szkoły powszechnej bez egzaminu	Według norm obowiązujących wszystkie prywatne szkoły	3 lata	— dtto —
5) Szkoła Handlow. Z. Maciejowskiego	Szeroka 26 Tel. 255-11	— dtto —		3 lata	— dtto —

Szkoły zawodowe żeńskie w Warszawie.

I. Handlowe.

Nazwa szkoły	Adres	Warunki przyjęcia	Czas trwania nauki	Opłaty	Zawód i uprawnienia
a) Prywatne. 1) Szk. Handlowa Żeńska J. Statkowskiej	Nowogrodzka 58 T. 194-88	7 kl. {bez egz. wst. Wpisy i informacje w kancel. szkoły codziennie od 15 maja 10—2 i 4—6	3 lata	według komisji norm.	Ekspedjentki sklepowe, kasjerki, pracownice biurowe w bankach, kantorach przedsiębiorstwach pryw i urzed. państw. i komunalnych Reszta uprawnień jak w szk. handl. męskich. Prawo wstępu do Liceum po egz. uzupeł.
2) Handl - Żeńska St. Rabskiej	Szeroka 38 T. 502-11	Jak wyżej Zapisy od czerwca	3 lata	„	„ „ „
3) Szk. Hendl. Żeńska M. Danielskiej	Kalińskiego 3 T. 206-68	dtto	3 lata	„	„ „ „
4) Szk. Handl. Żeńska M. Lipskiej	Leszno 50 T. 93-50	dtto	3 lata	„	„ „ „
5) Szk. Handl. Wiecz Żeńska Zgrom. Kupców m. st. Warszawy	Hortensja 2 T. 12-92	5 kl. pow. bez. egz. Ustrój semestralny Lekcje w poniedz. środy i piątki od 6.30—9.15 W semestrze 7 j 8 przedmioty handlowe i języki polski, rosyjski i niemiecki	2 lata	„	Pomocnicze siły sklepowe i biurowe
6) Szk. Handl. Żeńska M. Zyszfeldowej (izr.)	Nowolipki 32	Jak w p. 1—4	3 lata	„	„ „ „

KONSTYTUCJA 3 MAJA 1791 R.

Gdy w roku 1773 nastąpił pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej Polskiej, gdy trzech sąsiadów Polski: Rosja, Prusy i Austrja po raz pierwszy urwali po kawale żywego ciała Rzeczypospolitej, a w stolicy kraju, Warszawie, ambasadorowie rosyjscy rządzili się bardziej od króla, jasne się stało nareszcie dla światlejszych umysłów i gorętszych serc polskich, że oto nastał ostatni już czas ratowania Ojczyzny.

Nierząd i nieład gubiły Polskę, a więc trzeba było przedewszystkiem pomyśleć o zaprowadzeniu rządu i ładu.

Były to zadania ogromne i trudne. Bo trzeba było zwalczać z jednej strony samolubstwo przyzwyczajonej do swawoli i nierządu szlachty, a z drugiej—wpływy złowrogie i przekupstwa rządów Rosji, Prus i Austrji, które zainteresowane były właśnie w tem, aby w Polsce ładu, porządku i siły nie było.

Tem przygotowaniem umysłów i serc do wielkiego dzieła przebudowy całego ustroju Rzeczypospolitej zajęli się najmądrzejsi i najszlachetniejsi ludzie w Polsce. Do nich należeli w pierwszym rzędzie ksiądz Hugo. Kołłątaj, podkanclerzy Koronny, a więc minister Ignacy Potocki i ksiądz Stanisław Staszyc, rodem mieszczanin z Wielkopolski. Ludzie, kochający ojczyznę, doprowadzili wreszcie do tego, że został w 1788 roku zwołany sejm, który miał obradować nad naprawą ustroju Rzeczypospolitej i dać jej nowy — w formie tak zwanej konstytucji, czyli inaczej mówiąc, zbioru zasad, któremi ma się rządzić naród.

Sejm ten trwał bardzo długo, bo aż lat 4, i dlatego nosi w historji nazwę Sejmu Czteroletniego.

Owoc prac tego sejmu — konstytucja 3 maja — przeprowadziła dziedziczność tronu, zniesienie tej potwornej samowoli, że jeden szlachcic mógł krzyknąć: „nie pozwalam“ i tem samem uniemożliwić najniezbędniejszą i najważniejszą uchwałę sejmu, ustanowienie rządu i władz oraz dopuściła łaskawie do pewnych przywilejów ludność miast królewskich.

Co się tyczy najliczniejszej warstwy ludności— włościan, to pośrednio uczyniono to, że nabierały mocy obowiązującej umowy, zawierane dobrowolnie przez poszczególnych patrjotów — magnatów z włościanami, i ich nadania, że włościanin, wreszcie, który uciekł od nieludzkiego pana za granicę, a potem wrócił do Polski, stawał się wolnym.

Konstytucja przyznała publicznie, że „lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w Narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość, ludzkość i obowiązki chrześcijańskie, jako i przez własny nasz interes dobrze zrozumiany, pod opiekę praw i rządu krajowego“ zostaje przyjęty.

Konstytucja 3 maja 1791 roku, jak każde dzieło ludzie, daleką jest od doskonałości, lecz bądź co bądź jest to dzieło wielkiego wysiłku narodu w kierunku naprawy ustroju i ratowania zagrożonej niepodległości.

Konstytucja 3 maja jest też ostatnią próbą twórczą narodu przed utratą wolności i dlatego zasługuje na wieczną pamięć pokoleń następnych.

Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że, gdyby naród polski mógł wcielić w życie w całej rozciągłości konstytucję 3 maja 1791 roku, nabrałby z czasem mocy i spoistości, któreby nie pozwoliły na pozbawienie go wolności, a sprawiły to, że dziś miałby poza sobą te wszystkie doświadczenia, które z trudem i bólem zdobywać musimy.

Niestety, wrogie nam mocarstwa ościenne Rosji, Prus i Austrji nie dopuściły do ustalenia się i wzmocnienia narodu przez konstytucję 3 maja 1791 roku.

Wroga konstytucji 3 maja, przekupna i samolubna szlachta zawiązała konfederację Targowicką i oddała się pod opiekę Carycy rosyjskiej, Katarzyny II. Ta ostatnia nie omieszkała wysłać zaraz swoje wojska liczne, którym nie były w stanie przeciwstawić się skutecznie zastępy polskie pod wodzą Tadeusza Kościuszki i Księcia Józefa Poniatowskiego. Został zwołany nowy Sejm do Grodna, a na nim obalona Konstytucja 3 maja i przyjęty drugi rozbiór Polski.

Pamięć konstytucji 3 maja 1791 roku przetrwała przecież w narodzie, jako hasło i pomost do nowych wysiłków twórczych budowania na zasadach wolności zbiorowego życia.

B. S.



Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE.

TADEUSZ RADLIŃSKI

LA PALMA I TENERYFA

dwie perły wysp Kanaryjskich.



Widok z Teneryfy.

...Skoro świt wybiegłem na pokład... Na styczniowem, trochę bladem niebie mrugają, śród poprzerywanych obłoków gwiazdy... a tam daleko ku południowi, na horyzoncie zarysowują się kontury skalnej prześlicznej wysepki. To La Palma!

Spłonęły we wschodniej stronie nieba dotychczas słabo widoczne obłoki krwawą purpurą, a tuż tuż i sam władca świata słońce — choć szpetnie „poplamione" w tym roku, swą złotą głowę, trochę jakby zawstydzoną, z racji srogiej, zgoła niesamowitej obecnej zimy, wynurza z za fal...

Zdala coś zamigotało na wyspie: to zalśniły szyby w oknach portu Santa Cruz, przycupniętego nad brzegiem popod czerwonemi wulkanicznemi skałami, omywanemi białym wieńcem wzburzonych fal.

Zwykłe ceremonje wjazdowe: zgrzyt łańcuchów, zarzucanie lin, chrobot maszyn, skowyt wind i oto o godzinie ósmej rano, czwartego dnia po wyjeździe z hiszpańskiego portu Kadyksu, stajemy mocno przycumowani przy bulwarze.

Stać tu będziemy do wieczora. Nie patrzmy więc w kalendarz (styczeń) i nie wspominajmy czterdziestostopniowych mrozów w odległej naszej Ojczyźnie, tylko wdziejmy co lżejsze białe ubranie i dalej na brzeg!

Cały port otaczają wieńcem czerwone wulkaniczne skały, widać że „wylane" z wewnątrz ziemi, dzikie, poszarpane, jednak uroczo złagodzone przez bujną podzwrotnikową roślinność. Dołem czerwone urwiska opadają w białą linję pian morskich, odgradzających je srebrną kipielą od ciemnych błękitów Atlantyku. Kontrast nie dający się z niczem porównać! Cudowny, niebywały efekt.

Szybko przebiegam małe miasteczko i skręcając w bok jakimś bardzo wonnym brudnym zaułkiem (wszystko, co hiszpańskie jest przeważnie brudne!) zapuszczam się w dolinę, a raczej w ogród, pełen bujnej, sztucznie uprawnej roślinności.

Poranne słońce, to młode lecz palące, jasne, cudne słońce zwrotników, zlewa na mnie swe gorące błogosławieństwo, radość i bogactwo tych wysp szczęśliwych. Piję je, upajam się jego blaskiem — ja mieszkaniec ciemnej naszej i smutnej północy. Cała ta wysepka — najpiękniejsza z Kanaryjskich — może być przykładem i nauką, jak zapomocą ciężkiej walki zdobywa się rodzajną glebę, a zwietrzałą lawę pracą znojną motyki i kilofa w żyzny grunt się zamienia. Miejscowy wieśniak (Campesino) swym nieustannym ciężkim trudem i umiejętnością przeprowadzenia sztucznego nawodnienia, budowania cementowych zbiorników i rozprowadzania z nich wód deszczowych — tego drugiego błogosławieństwa zwrotni-



Miejscowi rolnicy — los campesinos.

ków — potrafił zamienić jałową wulkaniczną skałę w żyzny obficie zraszany w miarę potrzeby grunt, na którym rozkoszują się życiem gaje słodkich, a wonnych bananów, grzędy pożytecznych warzyw, pachnące pomarańczowe sady i klomby bujnego, cudnego kwiecia.

Jak ciężka jest ta walka z nieubłaganem słońcem,



Wędrówka w głąb wyspy na osiołku.

którego palące promienie wysuszają wszelką wilgoć z jałowej skały, ten tylko zrozumieć może, kto widział te olbrzymie cementowe zbiorniki na wodę, kunsztownie przeprowadzoną sieć rur, kanałów i kanalików, rozprowadzających życiodajną wodę deszczową po całej wysepce.

Ach, gdyby u nas choć dziesiąta część tej umiejętnie zorganizowanej pracy! Przecież pola zdrenowane to u nas rzadkość nielada, a trud zakładania drenów w miękkim gruncie nie umywa się nawet do ciężkiej pracy urządzania sztucznego nawodnienia w twardej wulkanicznej skale! Twarda to, ciężka lecz jak wydajna praca!

Cudny upajający dzień „styczniowy" kończy się szybko: wieczorem kąpiel wśród pienistej kipieli przy srebrnych blaskach księżyca, a potem — o chwilo bolesna — rozstanie z uroczą wysepką, w której „zakochały się nasze oczy".

Noc spędzam na pokładzie: zdala ku wschodowi, wyczarowana w srebrnych blaskach księżyca sylwetka ślicznego szczytu Piko de Tejde, 3338 metrów wysokiego wprost z fal oceanu wyrastającego pod niebiosa.

Rano stajemy w porcie na wyspie Teneryfie. Co za ruch szalony! Co za moc statków wszelkich flag i narodowości!

Oto olbrzymi szwedzki transportowiec wyładowuje całe sterty cienkich świerkowych deseczek z dalekiej północy tu przybyłych. Z nich powstaną misternie sklecone klatki — skrzyneczki, do których skrzętne ręce kanaryjczyków upakują wonne a smakowite banany, i słać będą z powrotem pod mgliste niebo północy słodką, a pożywną dań zwrotników.

Tu znów z duńskiego statku wynoszą drewniany budulec: deski, belki, dyle, klepki i t. d., z wielką pieczołowitością w szopach przechowywane. Moc angielskich okrętów. Jedna kompanja znaczy swoje zajęcie pięknym pomidorem na sztandarze. Łatwo oczywiście domyśleć się, co przewozi. Wśród morskich potęg tego świata spostrzegam nawet Jugosłowiańską flagę, brak tylko polskiej. Gdzieżeś Ty, bogata lecz niezaradna Ojczyzno? Czemu brak tu produktu twych leśnych ostępów Białowieży lub kniej karpackich? Czemu nie przywozisz drzewa, a nie zabierasz stąd bananów, pomidorów, pomarańczy? Oto olbrzymie pełne drewnianych klatek z bananami galary cicho przybijają do boków transportowych kolosów. Zgrzytnęły dźwigi. Jedna po drugiej skrzynia w obszernej mocnej sieci, na haku dźwigu w górę uniesiona, ginie w mrocznem wnętrzu statku...

A tu nadpływają nowe galary bananów pełne. Ma się tu wrażenie, że cała ludność naszego globu nic innego nie spożywa, jak banany, banany i banany, czasem zresztą przegryzając je pomidorami!

Naokoło nas ciepło, cudnie słonecznie: średnia temperatura stycznia wynosi tu prawie 18° C. jak u nas czerwca lub sierpnia, w lipcu zaś wznosi się do 23,5° C., czyli różnica w ciągu roku wynosi ledwie 5,5° C. (u nas koło 23°C.). Dlatego to wyspy te



Szczyt Pico de Tejde widziany z samolotu.

szczęśliwe, krainą wiecznej wiosny nazwać można.

Kąpiel w ciepłych falach oceanu w styczniu ma temperaturę 18,5° C. Porównajcie je z lipcową temperaturą naszej Jastarni lub Helu!

Tak wyglądają dwie perły Atlantyku: La Palma urocze, skaliste ustronie i wspaniała Teneryfa, pracowita, rojąca się od okrętów, olbrzymim stożkiem Tejde ozdobiona.

DR. J. MAGNUSZEWSKI

PÓŁKOLONJE

Najstraszniejszym wrogiem zdrowia i życia naszych dzieci jest gruźlica.

Celem Ligi Szkolnej Przeciwgruźliczej jest uchronienie od gruźlicy dziecka i zapobieganie szerzeniu się jej w wieku szkolnym. Aby uchronić dziecko od zakażenia należy usunąć źródło zarazy z domu lub też umieścić dziecko w środowisku zdrowem. Usunięcie gruźlika z domu jest najczęściej rzeczą niewykonalną. Brak zaś zakładów dla dzieci zagrożonych gruźlicą i brak środków staje na przeszkodzie usunięciu dziecka ze środowiska gruźliczego. Jedyną więc drogą, która pozostaje w danym wypadku, to dążenie do uodpornienia organizmu dziecka, póki choroba się jeszcze nie rozwinęła. Należy przytem pamiętać, żeby pomoc ta była okazaną w porę; kilka miesięcy zwłoki powoduje często niczem niepowetowaną stratę.

Aby osiągnąć powyższy cel, t. j. uodpornić i zahartować organizm dziecka, Liga stara się przedewszystkiem wyzyskać naturalne czynniki, jak: powietrze, słońce, wodę i racjonalne odżywianie przez czas trwania półkolonji, a w miarę sił i możności otacza swoją opieką dziecko słabe i wątłe przez cały rok.



Aby sprostać zadaniu, Liga prowadzi zakłady opiekuńcze o typie szkół w lesie, prowadzi dla członków sale naświetlań lampami kwarcowemi, rozdaje tran — oraz lekarstwa w swojej przychodni. W sezonie letnim Liga tworzy kolonje lecznicze dla dzieci z początkową gruźlicą, lub nią zagrożonych, i kolonje wychowawcze dla dzieci wątłych i anemicznych. Od 3-ch lat Liga objęła też kierownictwo półkolonij leczniczych i półkolonij zdrowotno-wychowawczych na terenie Warszawy, prowadząc je z funduszów, otrzymywanych z Magistratu m. st. Warszawy.

Najdotkliwszym zrazu był brak pomieszczeń. Wynajem prywatnych budynków nietylko powiększał koszt utrzymania dziecka, ale też znacznie utrudniał dozór nad nim. Już w 2-im roku pracy Zarząd postanowił dążyć za wszelką cenę do budowy baraków letnich. W tym celu Liga zakupiła willę w Urlach, obok której miał stanąć barak. W końcu 1925 r. Liga otrzymała w drodze od T-wa „Doraźna Pomoc Kobiety Polskiej" 12-to pokojową willę i 2 morgi ziemi w ślicznej, lesistej miejscowości pod Starą Miłosną. Cenny ten dar, oraz posiadłość w Urlach, dały możność Zarządowi Ligi przystąpić w r. 1926 do budowy baraków letnich. Dzięki subsydjum Magistratu m. st. Warszawy oraz fundatorem łóżeczek imiennych, stanęły





2 drewniane baraki; jeden w Starej Miłośnie na 100 łóżek, drugi w Urlach na 130 łóżek.

Jak się rozwijała działalność L. S. P. w ciągu 4-ch lat t. j. od czasu powstania w 1923 r. do chwili obecnej — najlepiej zilustruje kilka danych cyfrowych.

W roku 1924 jako w pierwszym roku działalności Ligi zostało wysłane na kolonje i do uzdrowisk 137 dzieci.

W roku 1925, dzięki zapomodze, udzielonej Zarządowi przez Wydział Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą Departamentu Opieki Społecznej Min. Pr. i Op. Sp. został otwarty w Skolimowie zakład o typie szkoły w lesie na 30 miejsc. W ciągu roku przeszło przezeń 77 dzieci. Z kolonij, które mieściły się niestety w wynajętych budynkach, skorzystało 50 dzieci, na półkolonje lecznicze uczęszczało 1130 dzieci.

W rku 1927 — przez szkołę w lesie przeszło 228 dzieci, na kolonjach, już we własnych barakach i w uzdrowiskach 506 dzieci. Na półkolonje lecznicze



przyjęto 1110 dzieci. W roku tym Liga przyjęła od Komisji Głównej Opiek Szkolnych prowadzenie półkolonij zdrwotno-rozrywkwych na które uczęszczało 2800 dzieci. Oprócz tego dzięki pomocy materjalnej Magistratu udało się Zarządowi Ligi uruchomić w Miłośnie drugi zakład opiekuńczy na 36 miejsc o typie szkoły w lesie.

W roku tym z wywczasów na kolonjach skorzystało 852 dzieci. Liczba dziatwy na półkolonjach leczniczych utrzymała się na poziomie zeszłorocznym. Znaczny natomiast rozwój osiągnęły półkolonje zdrowotno-rozrywkowe. Rodzice zrozumieli, że korzystniejszym jest dla dziecka spędzenie kilku godzin na grach i zabawach na otwartem powietrzu pod kierownictwem wychowawców, niż przebywanie w dusznych mieszkaniach lub wałęsanie się samopas po ulicy. 2 białe bułki, ½ litra mleka także bardzo zachęciły dzieci do regularnego uczęszczania na półkolonje, to też liczba z 2.800 w r. 1926 w roku 1927 osiągnęła cyfrę około 20.000.

W roku 1928 Liga prowadziła w dalszym ciągu dwie szkoły w lesie w Skolimowie i Miłośnie, półkolonje lecznicze i zdrowotno-rozrywkowe, oraz po raz pierwszy, półkolonje wyjazdowe w Komorowie.

Rok ten wykazał dalszy znaczny rozwój kolonij: wysłanych dzieci było 1306 (o 454 więcej niż w r. 1927) Zarząd przyjął udział w wystawie w Paryżu,



w Rzymie, oraz w Warszawie wystawiając liczne diapozytywy ilustrujące działalność instytucji.

Zamierzenia Ligi Szkolnej Przeciwgruźliczej na najbliższą przyszłość są następujące: Rozszerzenie i spopularyzowanie kolonijnej kasy oszczędności, dzięki której zapobiegliwi, a mało zamożni rodzice, zawsze będą mogli zabezpieczyć dziecku swemu wyjazd na kolonje, składając w ciągu roku drobne kwoty. Otwieranie szkół w lesie z internatami lub bez, prowadzonych przez cały rok.

Dalej: budowa tanich letnich baraków, zdala od miasta w miejscowościach zdrowych i suchych. Wzniesienie kilku baraków letnich nad naszym morzem.



Co się tyczy półkolonji, to należy je, przynajmniej w dużych miastach, traktować jako rzecz przejściową, a bezwzględnie dążyć rok rocznie do rozszerzenia sieci kolonijnej.

Aby skutecznie walczyć z gruźlicą, należy połączyć wysiłki: rządu, samorządu i społeczeństwa. Pierwsze dwa czynniki już podłożyły podwaliny, organizując liczne przychodnie przeciwgruźlicze, ośrodki zdrowia, oraz przeznaczając jednocześnie duże sumy na kolonje i półkolonje. Lecz wszystko to jeszcze zamało w stosunku do niebezpieczeństwa szerzenia się gruźlicy.

Część ciężaru w tej walce winno natychmiast przejąć społeczeństwo na swoje barki, bo jeżeli dzisiaj nie zabezpieczymy dzieci naszych od gruźlicy, to później w dwójnasób będziemy łożyli na szpitale!

Twierdzenie, że nie opanujemy gruźlicy bez wzmożenia się ruchu budowlanego, zmniejszenia się bezrobocia—jest słuszne. Lecz czyż w oczekiwaniu lepszego jutra mamy dzisiaj opuścić ręce?

Zdobądźmy się na zbiorowy wysiłek, a powstaną z fundacji łóżeczek imiennych — szkoły w lesie — twierdze obronne przeciwko gruźlicy, pokryje się Polska wzdłuż i wszerz kolonjami.

Od 20 — 30% ludzi umiera na gruźlicę. Czyż cyfra ta jeszcze wymaga komentarzy? A jeżeli będziemy zwlekali z pomocą to cyfra ta będzie stale się powiększała z roku na rok.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.